



WŁODZIMIERZ WŁODARSKI

Warszawa, 8 sierpnia 1947 r. Członek Okręgowej Komisji Badania Zbrodni Niemieckich, [sędzią] Halina Wereńko, przesłuchała niżej wymienionego w charakterze świadka, bez przysięgi. Uprowadzony o odpowiedzialności karnej za składanie fałszywych zeznań oraz o treści art. 107 i 115 kpk,

Świadek zeznał, co następuje:

Imię i nazwisko	Włodarski Włodzimierz
Imiona rodziców	Włodzimierz i Maria z Fabijańskich
Data urodzenia	3 stycznia 1907 r.
Wyznanie	rzymskokatolickie
Miejsce zamieszkania	Warszawa, al. Waszyngtona 106 m. 18
Wykształcenie	Wyższa Szkoła Handlowa
Zawód	handlowiec

W czasie obejmującym moje zeznanie pełniłem funkcję kierownika gospodarczego Szpitala Zakaźnego św. Stanisława w Warszawie przy ul. Wolskiej 37. W okresie tym, ukrywając się przed prześladowaniem ze strony Niemców, używałem przybranego nazwiska Władysław Walczak.

1 sierpnia 1944 roku przed godz. 16.00 zostałem zawiadomiony przez szefa służby sanitarnej AK dr. Skibę (pseudonim) o wybuchu powstania. Wobec powyższego zarządziłem natychmiast odpowiednie przygotowania, jak wywieszenie na bramach flag z czerwonym krzyżem i pełna gotowość do przyjęcia ewentualnych rannych. Posłałem też furmana szpitalnego

ś.p. Delążka po bliżej mieszkających lekarzy, bo tym momencie na terenie szpitala nie było ani jednego lekarza. Wkrótce przybyli dr Józefa Barczowa-Pakulska oraz dr Mieczysław Rygalski. Wieczorem przybyli dr Stanisław Kulesza i dr Jan Barcz, a w nocy dr Paweł Kubica.

Nakazałem opuszczenie budynków kancelaryjnego i aptecznego jako znajdujących się przy bramie od ul. Wolskiej, a tym samym najbardziej od Niemców zagrożonych. Wewnątrz budynku aptecznego umieściłem kobiecy patrol (PCK) z noszami, zarządzając równocześnie obowiązkowe noszenie przez cały personel białych fartuchów. Koło godziny 18.00 tegoż dnia, stojąc w drzwiach apteki, zostałem ostrzelany z broni maszynowej przez przejeżdżający samochód niemiecki, wobec czego patrol PCK przeniosłem do dalej położonych budynków.

2 sierpnia rozpoczęła się bardziej skoordynowana akcja niemiecka skierowana przeciw powstańczej Warszawie. W akcji tej w rejonie ul. Wolskiej brały udział oddziały pancerne należące do dywizji imienia Hermana Göringa i oddziały policyjne.

Wiadomość tę mam z personaliów podanych przez przyniesionych na opatrunek żołnierzy niemieckich i podaję ją ze spisu rannych dokonanego w czasie powstania. A mianowicie:

- 2 sierpnia o godz. 13.30 przyniesiony [został] Wilhelm Engelhardt, Polizeiregiment 23 Feldpost 584160;
- 3 sierpnia Heinrich Asshoff,obergefreiter „Herman Göring” Division;
- 3 sierpnia Erik Schliephake, Sturm Regiment 73 Division 19 Pancer grenadier;

Akcja niemiecka postępowała wzdłuż ulic Wolskiej i Górczewskiej, o większych wypadach w boczne ulice nie słyszałem.

Polegała ona na rozbijaniu barykad i uniemożliwiała stabilizację oddziałów powstańczych. Każda z rozbitych barykad po przejściu oddziałów niemieckich była przez powstańców odbudowywana, zamykając niejednokrotnie dalej będące czołgi. Szczególnie uciążliwa dla Niemców była barykada na rogu ul. Wolskiej i Młynarskiej opierająca się o róg muru szpitalnego, a którą ja mogłem cały czas dokładnie obserwować.

Wobec tych trudności Niemcy zastosowali metodę oczyszczania ulic, wzdłuż których prowadzili natarcie. Wykonywali to, wypędzając ludność z domów, które równocześnie palono. Domy te z reguły były wcześniej ostrzeliwane z dział czołgowych 75 mm.

Ostrzeliwano je z ulic, strzelając wprost w okna, sklepy i bramy. Postępująca za czołgami piechota wypędzała ludność i paliła domy. Dla zobrazowania tego stwierdzam, że na jezdni ul. Wolskiej na odcinku [przyległym do] naszego szpitala leżało przeszło sto sztuk łusek od wyżej wymienionych pocisków.

Wypędzanie ludności odbywało się w sposób wysoce okrutny, urągający wszelkim przepisom prawa boskiego i ludzkiego. Połączone było z biciem, kopaniem, strzelaniem do ludzi posądzonych o przynależność do AK i wrzucaniem granatów do piwnic, w których przypuszczano, że są ukrywający się ludzie.

Część ludności była przeznaczona do rozbierania barykad, grupa taka musiała iść przed i obok czołgów, aby uniemożliwić powstańcom kontrakcję. 3 sierpnia z przechodzącej obok bramy szpitalnej takiej kolumny oderwało się pięciu mężczyzn, starając się ukryć na terenie szpitala. Idący za nimi Niemcy dogonili ich i wszystkich na miejscu zamordowali strzałami w głowę; dwóch zostało zabitych o krok od drzwi portierni, a trzech w przedpokoju.

Zabici zostali: Michał Rosłoń (ul. Wolska 34), Szczepan Majewski (ul. Wolska 34), Władysław Kwiatkowski (zam. jak poprzedni), Mateusz Adam Nowicki (Towarowa 62), mężczyzna nieznanego nazwiska. Pierwszy [z nich był] w wieku około czterdziestu kilku lat, pozostali koło pięćdziesięciu.

W tymże dniu zabity został w laboratorium apteki szpitalnej mgr Idzi Dziedziak, kierownik tejże apteki. Bliższych szczegółów o morderstwie brak, znaleziono jedynie obok zabitego wystrzeloną łuskę karabinową.

Okres stałych wypadów wzdłuż ulicy Wolskiej połączony z wypędzaniem i mordowaniem ludności, z burzeniem barykad i paleniem domów trwał przez 2, 3 i 4 sierpnia. Obok wyżej wymienionych spostrzeżeń dochodziły nas ustne sprawozdania od licznie napływających do szpitala rannych i szukających schronienia w szpitalu uciekinierów z najbliższych ulic.

5 sierpnia rano Niemcy rozpoczęli akcję zakrojoną na szeroką skalę. Natarcie oddziałów pieszych współdziałało z akcją czołgów i samolotów, przy oddziałach pieszych były małe grupy [z] miotaczami płomieni. Koło godziny 11.00 najbliższe okolice szpitala zostały obrzucone bombami lotniczymi, wkrótce potem został zajęty teren sąsiadującej ze szpitalem fabryki Franaszka, którą natychmiast podpalono.

Pożar fabryki Franaszka zagrażał przeniesieniem się ognia na stykający się z nią budynek szpitalnego magazynu żywnościowego, dlatego też rozpoczęliśmy przenoszenie żywności do dalej położonych budynków. W tym momencie na teren szpitala wkroczyły pierwsze grupy nacierających żołnierzy niemieckich. Jeden zwrócił się do mnie z zapytaniem, kto jestem i kto ma klucze od bramy. Wskazałem na portiera Władysława Przesmyckiego. Kiedy ten wyjął cały pęk kluczy, Niemiec kazał mu oddać mi je, a wziąć tylko klucz od bramy. Przesmycki oddał mi resztę kluczy, a przeczuwając niebezpieczeństwo, rzucił się przed Niemcem na kolana, prosząc o łaskę. Popędzony kolbą poszedł i otworzył bramę, poczym został wypędzony na ulicę. W kilka sekund później usłyszałem dwa strzały. W podobny sposób zostało następnie wypędzonych na ulicę kilku mężczyzn oraz dwie kobiety i znowu dały się słyszeć strzały. W tej grupie byli trzej pracownicy szpitala, a mianowicie: Stefan Mikulski, Kazimierz Tyczyński i Władysław Wiśniewski. O wszystkich czterech wyżej wymienionych nie ma do dzisiaj żadnych wiadomości; rodzina Przesmyckiego znalazła później na ulicy przed szpitalem jego kenkartę. (Zabici na ulicach byli zawsze rewidowani w poszukiwaniu złota i pieniędzy, bezwartościowa zawartość kieszeni była wyrzucana na ziemię, stąd ulica Wolska była dosłownie pokryta dokumentami, fotografiami itp.).

Korzystając z zamieszania wywołanego wyprowadzaniem konia przez jednego z żołnierzy, wycofałem się w głąb szpitala. Po paru minutach dowiedziałem się, że cały personel szpitalny, uciekinierzy i chodzący chorzy, mają opuścić szpital. Zostałem wypędzony z powrotem pod bramę, gdzie zastałem już kolumnę ustawioną w czwórki, a składającą się przeważnie z personelu szpitalnego, liczącą około 80 osób. W tym momencie usłyszałem kilka strzałów. Spojrzałem i zobaczyłem o krok czy dwa za bramą stojącego Marka Ilińskiego, który zachwiał się, obrócił i począł iść z powrotem na teren szpitala, [jednak] po przejściu kilkunastu kroków upadł. Podbiegłem do niego wraz z dr. Pawłem Kubicą, który stwierdził zgon. Marek Iliński urodzony w 1917 r., 1 sierpnia schronił się na teren szpitala i pełnił funkcję sanitariusza. W chwilę później podszedł do mnie podoficer niemiecki i zapytał się, jaką pełnię w szpitalu funkcję. Usłyszawszy wirtschaftleiter, powiedział erschossen i kazał stanąć w kolumnie.

Łącznie w tym dniu zginęło 11 lub 12 osób (dokładnej cyfry nie ustalono), w tym dwie kobiety. W tymże czasie został w zamieszaniu ciężko ranny w klatkę piersiową ksiądz Niczyporowicz, również wtedy zaginął dr Jan Barcz, ostatnio widziany w grupie stojącej przy bramie.

W chwilę po wyżej opisanych wypadkach rozpoczęły się pertraktacje Niemców z przedstawicielami szpitala, w osobach wysuniętych jako dyrektor dr. Pawła Kubicy (dobra znajomość języka niemieckiego), dr. Rygalskiego i ówczesnej tłumaczki dr Joanny Kryńskiej. W wyniku tych pertraktacji dr Rygalski i Kryńska udali się w asyście żołnierzy niemieckich na ul. Górczewską, za wał kolejowy, gdzie rezydował sztab niemiecki tego odcinka, a gdzie równocześnie dokonywano masowych egzekucji. Powyższa delegacja została przyprowadzona do dr. medycyny Hartlieba, lekarza wojskowego, kapitana SS, który powiedział: „pocoście ich przyprowadzili, przecież wszyscy mają być rozstrzelani”. Jednak egzekucję odwołano.

Wstrzymanie egzekucji na terenie naszego szpitala podobno było wywołane nie znalezieniem zdrowych ani chorych czy rannych członków AK. Ja osobiście, po uczynionych później obserwacjach, jestem przekonany, że po zniszczeniu szpitali Wolskiego oraz Karola i Marii, szpital nasz i fachowy personel był potrzebny Niemcom, szczególnie na wypadek możliwej epidemii.

Wieczorem 5 sierpnia zainstalował się na terenie naszego szpitala niemiecki punkt opatrunkowy z obsługą sanitarną oraz kilkunastoma żołnierzami, których poprzednio widzieliśmy w grupie zajmującej szpital. Oddział ten należał do grupy bojowej generała Reinefartha, oryginalne niemieckie brzmienie Kampfgruppe Reinefarth Feldpostnummer 00512 L (patrz załącznik). Z rozmów z żołnierzami dowiedzieliśmy się, że podlegają bezpośrednio pułkownikowi czy generałowi Dirlewangerowi, który osobiście przez dłuższy czas kwaterował w szpitalu. Z grupy u nas kwaterującej znane mi są nazwiska: Dirlewanger, kpt. dr Hartlieb, Niemiec sudecki – kpt. dr. Scheyfer (pisownia ?) i ordynans Wilhelm Belle.

Wyżej wymieniony oddział kwaterował na naszym terenie, zajmując część szpitala na mieszkania i część na punkt opatrunkowy. Równocześnie dwa budynki od ulicy Wolskiej zajęł nieznany mi bliżej oddział żandarmerii. W czasie swojego pobytu na terenie naszego szpitala oddziały niemieckie dokonały szeregu zbrodni i grabieży.

Pierwszym co do daty faktem był następujący: 8 sierpnia SS-mani grupy bojowej generała Dirlewangera przyprowadzili na teren szpitala dwóch powstańców (w wieku około 18 lat), kazano im zdjąć buty, porwano na nich mundury wojskowe polskie i zerwano czapki z orzełkami. Uczyniwszy z nich w ten sposób oberwańców, kazano im trzymać między sobą

flagę czerwoną z białym orłem, poczym fotografowano ich, a następnie zostali powieszani na drzewie między kuchnią a oddziałem dla chorych i znowu fotografowani. Zdjęci zostali dopiero po kilku godzinach, po kilkakrotnej interwencji polskiej dyrekcji szpitala.

Cały przebieg powyższej egzekucji obserwowałem przez okno. SS-mani oprawcy byli mi znani z widzenia, stąd wiem bezsprzecznie o ich przynależności do wyżej wymienionego oddziału. Podobne wyroki były wydawane wyłącznie przez samego Dirlewangera lub kogoś działającego z jego upoważnienia.

Pewnego dnia w czasie wybierania tak zwanych rekonwalescentów (opis niżej) zauważyli Niemcy jednego z rannych w zielonych spodniach i butach z cholewami. Przypuszczając na tej podstawie, że jest to ukryty ranny powstaniec, zastrzelili go pod oknami sali szpitalnej. Mimo obecności na terenie szpitala gen. Dirlewangera, w tym wypadku sprawcą był raczej gestapowiec Szpilke lub któryś z jego podwładnych. Zabitym był Stanisław Tarczyński. Podobno wskazał go gestapowcom przebywający na leczeniu w szpitalu 14-letni Niemiec volksdeutsch (nazwiska nie znam).

W czasie pobytu na naszym terenie Niemców, przychodziło do nas wiele kobiet zgwałconych i zarażonych, najmłodsza z nich miała lat 12. Był wypadek, że przyszła do nas zarażona przez Niemców matka i jej 14-letnia córka.

Ponieważ ze względów dyskrecjonalnych zapisywało się w książkach szpitalnych inną chorobę, podać nazwisk powyższych osób niemożna.

Pewnego razu zobaczyliśmy, że żołnierz niemiecki zabrał siłą młodą kobietę z tłumu przechodzącego ulicą i poprowadził ze sobą w ruiny spalonego domu. Zameldowaliśmy o tym niemieckiemu lekarzowi, który – udając oburzonego – kazał nam pokazać dwóm podoficerom żandarmerii dom, do którego wszedł ów żołnierz. Udałem się tam wraz z dr. Kubicą i podoficerami i złapaliśmy owego żołnierza in flagranti. Winny został aresztowany, a po pięciu minutach wrócił roześmiany pod bramę szpitalną, grożąc tym, którzy go oskarżyli. Taka była reakcja i kara za zbrodnię gwałtu.

Jak do tego odnosili się lekarze niemieccy, świadczyć może następujący fakt. Niemiec, dr. Szaufler odmówił kategorycznie wpuszczenia na pół godziny na teren szpitalny czterech zgwałconych Polek celem dokonania płukania ochronnego. Kiedy go o to prosiłem,

wymyślał mi, sięgając wymownym ruchem do pistoletu. System wybierania młodych kobiet z tłumu i wciągania ich do spalonych domów celem gwałcenia był przez żołnierzy z grupy Dirlewangera stosowany bardzo często.

Obok powyższych faktów zauważyłem wiele wypadków grabieży. Po zajęciu budynków od ul. Wolskiej przez żandarmerię (patrz wyżej) nikt z polskiego personelu szpitalnego nie mógł tam wejść, stąd niemożliwość przeniesienia pieniędzy znajdujących się w zamkniętej przez nieobecnego kasjera kasie pancерnej. Kiedy w kilka dni po objęciu szpitala przez Niemców, uzyskawszy zezwolenie, udałem się z begleiterem, mechanikiem i świadkami, żeby kasę siłą otworzyć, zastaliśmy ją bardzo fachowo rozprutą i ogołoconą z zawartości.

Żołnierze niemieccy w czasie zdobywania szpitala i przeprowadzania rewizji zabierali z magazynu żywnościowego kiełbasy, słoninę itp. Sam osobiście widziałem żołnierza niemieckiego (w tymże dniu) wychodzącego z kuchni z przewieszonymi przez szyję kiełbasami. Poza tym, chodząc po szpitalu, brali wszystko, co mogło być im potrzebne, a raczej wszystko, co im wpadło pod rękę (np. zwykły SS-man, nie sanitariusz, zabrał z sali operacyjnej kilkadziesiąt narzędzi chirurgicznych), parokrotnie miały miejsce włamania do niezamieszkałego magazynu bieliźnianego.

W czasie przebywania na naszym terenie gen. Dirlewangera przynieśli mu żołnierze dużą ilość srebra, sądząc na oko około 100 kg, i zsykali je na korytarzu przed drzwiami kwatery. Pan generał zrobił inspekcję zdobyczy i kazał wszystko przenieść do swojego pokoju. W związku z tym jeden z pracowników nawiązał rozmowę z ordynansem generała, ten oznajmił, że zawsze odbywa się podział łupów, a sam już dostarczył generałowi trzydzieści kilo pierścionków.

Wspomniany poprzednio dr Szaufler, operując rannego żołnierza niemieckiego, w pewnym momencie wyjął pęsetą zza koszuli rannego złoty pierścionek, szybkim ruchem schował do kieszeni i operował dalej.

Innego rodzaju akcja była przeprowadzana w szpitalu przy bezpośrednim współudziale gestapo, w którym kierowniczą rolę odgrywał gestapowiec Szpilke. Było to wybieranie ludzi nagromadzonych pod różnymi pozorami w szpitalu oraz ozdrowieńców. Akcji tych przeprowadzono kilka. W pierwszej zostali wyprowadzeni wszyscy ludzie przyproawdzeni z okolicznych domów i ukrywający się w piwnicach szpitalnych oraz parę osób z rodzin

pracowników. Ludzie starsi oraz kobiety z dziećmi zostali wywiezieni do obozu w Pruszkowie. Mężczyzn w sile wieku widziałem później w grupach roboczych z obozu na ul. Sokołowskiej. Do obowiązków tych grup należało przeszukiwanie trupów (złoto), układanie ich w pryzmy i palenie oraz rozbieranie barykad i zasypywanie rowów. W czasie jednej z takich branek wyprowadzono kilkudziesięciu nieuleczalnie chorych gruźlików, z których dwóch, odniósłszy rany przy rozbieraniu barykad, przypadkiem wróciło do naszego szpitala.

Jeśli chodzi o chorych, to przy kwalifikowaniu do zwolnienia obok dr. Schauflera czynny był ordynans Belle, przed wojną właściciel sklepiku, karany za morderstwo, a na terenie szpitala wykonawca wielu wyroków (zastrzelił dwie prostytutki i żołnierza niemieckiego skazanego przez gen. Dirlewangera za przewinienie służbowe na śmierć). Zaznaczyć trzeba, że według opowiadań dr. Hartlieba wszyscy bez wyjątku żołnierze dyw. Dirlewangera byli rekrutowani z więźniów kryminalnych i prawie wszyscy mieli wyrok za morderstwo.

Z okolicznej ludności ukrywającej się na terenie szpitala udało nam się przetrzymać przez dłuższy czas grupę kobiet z dziećmi bardzo małymi, jednak przez ich nieostrożność zostały zauważone przez generała Dirlewangera, który osobiście zarządził natychmiastowe usunięcie ich ze szpitala.

W czasie między 5 a 10 września wracałem wieczorem do szpitala, wioząc przydział chleba. Na ul. Bema spotkałem grupę ludzi popędzanych energicznie przez żołnierzy Wehrmachtu w kierunku Dworca Zachodniego. Za tą grupą wlokło się siedem zupełnie niedołącznych staruszek, kaleka posuwający się na rękach (nogi miał całkowicie bezwładne) oraz chora lub wyczerpana kobieta z dwojgiem malutkich dzieci. Eskortujący ich żołnierz powiedział do mnie śląskim dialektem: „weź je pan ze sobą do szpitala, bo nie mogą nadążyć za transportem i zostaną zastrzeleni”. Kiedy ładowałem ich na wóz, żołnierz powiedział że jest Ślązakiem i dał mi do zrozumienia, że maruderzy są zabijani, żeby nie opóźniali transportów.

Wracając do uwag o zbiorowych mordach 5 sierpnia, stwierdzić muszę, co następuje: wezwany 6 sierpnia na rodzaj odprawy poruszyłem sprawę zaprowiantowania szpitala, na co otrzymałem odpowiedź, że tymczasem władze niemieckie zaopatrywać szpitala nie mają zamiaru (przydziały kartkowe otrzymaliśmy 1 września), ale pozwolono pracownikom szpitala w towarzystwie przewodnika Niemca znosić żywność z okolicznych domów. Wobec czego w najbliższych dniach razem z grupą pracowników byłem na terenie fabryki

Franaszka, gdzie widziałem palącą się pryzmę z zabitych ludzi wysokości około 1,2 m, szerokości 6 do 7 m, a długości około 30 m. Na drugi dzień, będąc na terenie młyna Michlera (vis à vis szpitala) widziałem dopalającą się pryzmę mniej więcej dwa razy mniejszą od tej widzianej w fabryce Franaszka. Na terenie Szpitala św. Łazarza widziałem popioły dużej liczby ludzi. W ogóle od jakiegoś 10 sierpnia okolice szpitala stałe były przesycone swądem palących się trupów.

6 sierpnia delikatnie badani żołnierze, na zapytanie, co nam grozi, powiedzieli żeby się nie bać, bo rozkaz mordowania został odwołany. Jakoby mieli rozkaz zabijania wszystkich od godz. 4.00 rano 5 sierpnia do 4.00 rano 6 sierpnia.

W czasie, kiedy duża liczba mieszkańców Warszawy przechodziła ul. Wolską obok szpitala, zorganizowaliśmy uliczny punkt pomocy, udzielający przechodniom kawy, lekarstw, mleka dla niemowląt itp. Po kilku dniach pracy tego punktu, w czasie których działalność nasza została dokładnie sfilmowana przez niemieckie biuro propagandy, na rozkaz kwaterującego wtedy u nas „zdobywcy” Warszawy gen. Dirlewangera punkt został zwinięty, a my otrzymaliśmy zakaz udzielania przechodniom pomocy i brania kogokolwiek rannego czy chorego do szpitala na leczenie. Przed bramą wystawiono wartę uniemożliwiającą obejście tego zakazu.

1 września 1944 szpital nasz był zmuszony opuścić Warszawę. Nakazana przez okupanta ewakuacja miała trwać dwie i pół doby, a do przewiezienia szpitalnego sprzętu mieliśmy otrzymać 26 wagonów. Otrzymaliśmy początkowo wagonów 16, po załadowaniu ich, wbrew obietnicom, dalszych dziesięciu nie otrzymaliśmy, a nawet skrócono nam termin ewakuacji o całą dobę. Dalsze starania o wagony przerwano nam podpaleniem jednego z budynków i kategorycznym rozkazem raus.

Wspominam o tym dlatego, że z pewnych powiedzeń Niemców oraz wielkiego niezadowolenia, że zbyt wielką ilość sprzętu załadowaliśmy na wagony, zrozumieliśmy ich intencję. Niedodanie nam brakujących wagonów i skrócenie czasu ewakuacji o dobę, a wreszcie podpalenie, były zrobione celowo, aby wprowadzić chaos do naszej pracy i uniemożliwić nam wywiezienie całego mienia szpitalnego.

Na zakończenie mojego zeznania podaję bilans strat materialnych szpitala, poniesionych w czasie od 1 sierpnia 1944, to jest od dnia wybuchu powstania, do chwili oswobodzenia Warszawy. Dane poniższe podaję według sprawozdania mojego złożonego do Wydziału

Szpitalnictwa m. st. Warszawy w maju 1945 roku. Aby odeprzeć ewentualny zarzut, że wymienione szkody zostały wyrządzone Szpitalowi św. Stanisława przez tak zwanych szabrowników, zaznaczam, że przyjechałem na teren szpitala na drugi dzień po wypędzeniu okupanta, a wyjeżdżając, pozostawiłem ekipę pilnującą terenu – jedną siostrę miłosierdzia i trzech pracowników.

I. Szkody wyrządzone w czasie od 1.08.1944 do 1.11.1944, tj. w czasie naszego pobytu w szpitalu.

Magazyn żywnościowy: cały zapas mięsa, słoniny, konserw i mąki

Magazyn bielizniany: około 500-600 m płótna i paręset sztuk bielizny różnej

Oddziały: łóżek z materacami – 100

koców – 120

mikroskop – 1

aparat do przypalań płucnych – 1

waga analityczna – 1

niewielkie ilości bielizny, duże ilości narzędzi chirurgicznych, termometry itp. Duża skrzynia z zestawem kompletnym apteczki Obrony Przeciwlotniczej

Dział gospodarczy: samochód osobowy i koń

II. Szkody wyrządzone w czasie od 1.11.1944 r. do 16.01.1945 r., tj. od momentu ewakuacji szpitala do oswobodzenia.

Pralnia: całe zmechanizowane urządzenie pralni, w tym 3 wirówki, 3 pralnice, kalander, magle, drobne urządzenia oraz potrzebna do powyższych armatura elektryczna

Dezynfekcja: Dwie komory dezynfekcyjne kompletne wraz z armaturą (w tym jedna najnowszego systemu produkcji amerykańskiej)

Uwaga: do wyniesienia wyżej wymienionych urządzeń poszerzano drzwi, rozbierając ściany.



Kuchnia: 9 dużych kotłów parowych do gotowania od 250 do 400 l, 4 małe kotły parowe (wywracane) od 25 do 60 l

Kotłownia: wszystkie manometry i 4 pompy elektryczne

Teren pozostały: wanien – 26, umywalni i misek klozetowych – 61, motopompa strażacka – 1, motorów elektrycznych – 52, około 200 m szkła okiennego oraz wiele drobniejszych urządzeń szpitalnych.

Z nieruchomości nie wymieniam szkód poniesionych przez działania wojenne, wymienię tylko budynek apteczny podpalony umyślnie dla przyspieszenia ewakuacji (patrz wyżej). Budynek ten spłonął całkowicie wraz z urządzeniem, a mianowicie: apteką i znajdującymi się w niej mniej ważnymi urządzeniami aptecznymi, mieszkaniem sióstr i gabinetem dyrektora szpitala, znajdującymi się tam meblami oraz biblioteką zawierającą bogaty zbiór książek medycznych, a specjalnie dotyczących chorób zakaźnych.

Na tym protokół zakończono i odczytano.